

MERCÉ

RODDORÉDA

# DIAMENTOWY PLAC

Z katalońskiego przełożyła  
Anna Sawicka



MARGINESY

This book was translated with the help  
of a grant from the Institut Ramon Llull



*La plaça del Diamant*

COPYRIGHT © Institut d'Estudis Catalans

Published by agreement with Casanovas & Lynch Literary Agency,  
Spain and Book/lab Literary Agency, Poland.

COPYRIGHT © FOR THE TRANSLATION BY  
Anna Sawicka

COPYRIGHT © FOR THE POLISH EDITION BY  
Wydawnictwo Marginesy, Warszawa 2022

## PROLOG

*Diamentowy plac* zaczyna się tak: „Julietta zajrzała do mnie do cukierni i powiedziała, że przed licytacją bukietu odbędzie się licytacja kawiarek; ona już zdążyła je obejrzeć: urocze, białe, ozdobione pomarańczą przeciętą na pół, widać nawet pestki”. Zapisując pierwsze zdanie, w najśmielszych marzeniach nie wyobrażałam sobie, że ćwierć wieku później moja powieść doczeka się tytułu wydań katalońskich i tytułu zagranicznych przekładów.

Kiedy ją pisałam, nie byłam pewna, jak naprawdę wygląda Diamentowy plac. Zapamiętałam tylko, że jako trzynasto- czy czternastolatka, pewnego razu z okazji święta dzielnicy Gràcia wybrałam się z ojcem oglądać pięknie udekorowane ulice. Na Diamentowym placu ustawiano właśnie estradę. Oczywiście podobne były na innych placach, ale mnie w pamięci utkwiała właśnie ta. Kiedy ją mijałam, wydała mi się dużą muzyczną skrzynką, a mnie rodzice nie po-

zwolili pójść na tańce, chociaż miałam wielką ochotę, więc snułam się odświętnymi ulicami smutna niczym czyścowa dusza. Może z powodu tamtej frustracji wiele lat później, w Genewie, zaczęłam powieść właśnie od tej estrady.

Pochodzę z Sant Gervasi de Cassoles, gdzie mieszkałam przy wąskiej, krótkiej ulicy, łączącej ulicę Padúa z drugą, Riera de Sant Gervasi, która wtedy nazywała się Sant Antoni, później París, a jeszcze później Manuel Angelon, i przy tej nazwie pozostała. Z Sant Gervasi jest blisko do dzielnicy Gràcia. Kojarzyłam z nią kina Trilla, Smart i Mundial, bo bywałam w nich wieczorami z dziadkiem. Targ Santa Isabel poznałam jako cztero- czy pięcioletnia dziewczynka, kiedy latem, po południu, towarzyszyłam sąsiadce, która szła tam kupować ryby; chodziliśmy ulicą Torrent de l'Olla. Kiedy miałam piętnaście–siedemnaście lat często, praktycznie codziennie, spacerowałam popołudniami z matką po tej dzielnicy, zawsze ulicą Gran. Od strony Rambla del Prat zmierzałyśmy do skwery Jardinets, tam przechodziłyśmy na drugą stronę i wracałyśmy. Oglądałyśmy wystawy.

Wzruszają mnie wszystkie wspomnienia, jakie zachowałam z Gràcii. Teraz jestem daleko, ale sama możliwość powrotu w myślach, w chwilach nostalgii, przynosi ulgę; często, w różnych okolicznościach, tamte wspomnienia były mi pociechą.

Chciałabym, żeby wszyscy, którzy będą czytać moją powieść, mieli udział w tych emocjach. Cieszę się, jak sobie pomyślę, że wśród tylu tysięcy czytelników, których zdobyła i nadal zdobywa ta książka, jest wielu takich, którzy nigdy niczego po katalońsku nie przeczytali, a teraz poprzez jej lekturę pośrednio odkrywają nasz język: cywilizowany, mądry, ważny. Cieszy mnie również myśl, że ta prosta powieść o ludzkich sprawach nosi imię *Diamentowego placu*, jak ten w dzielnicy Gràcia, a tym samym przenosi Katalonię do wielu odległych krajów.

Pisanie wstępu, czyli mówienie o sobie samej (lub o moim utworze, a to na jedno wychodzi), nigdy nie było moją pasją.

Opowieść o źródłach *Diamentowego placu* może byłaby ciekawa, ale czy da się wyjaśnić, jak powstaje powieść, jakie impulsy ją wywołują, jak silnej woli trzeba, by kontynuować, w jakiej walce kończy się to, co się zaczęło tak łatwo? Czy wystarczy powiedzieć, że zastanawiałam się nad nią w Genewie, podziwiając panoramę miasta z góry Salève albo spacerując po parku Perle du Lac? Mogę się przyznać, i to do pewnego stopnia będzie prawdą, że *Diamentowy plac* jest konsekwencją pewnego rozczarowania.

Zdążyłam zgłosić *Ogród nad morzem* do nagrody Joanota Martorella w jego ostatniej edycji, ale komisja mojej książki nie doceniła. Ta porażka jednak nie

podziałała zniechęcająco: trudności mnie mobilizują. Zawsze. I tym razem w ferworze zranionej dumy rozpoczęłam pisanie nowej powieści.

Chciałam, żeby była kafkowska, bardzo kafkowska, oczywiście absurdalna, z wieloma gołębiami; i żeby te gołębie dusiły bohaterkę od samego początku aż do końca. I tak rodziło się we mnie, zanim jeszcze zasiadłam do pisania, z ryzą papieru obok maszyny, to, co miało się stać *Diamentowym placem*. Pisałam jak w gorączce, jakby każdy dzień pracy miał być ostatnim dniem mego życia.

Pracowałam w amoku; poprawiałam po południu to, co powstało rano, i starałam się, by mimo pośpiechu koń nie stanął dęba, mocno dzierżyłam cugle, by nie zoczył z drogi. Słyszałam kiedyś o eksplozji w narracji\*. Nie wiem, co to takiego. Pisanie powieści to praca systematyczna, wymagająca spokoju i opamiętania.

I tak powieść, która początkowo miała być horrorem z gołębiami w roli głównej, powoli stawała się *Diamentowym placem*, gdzie, owszem, pojawiły się gołębie, ale w zupełnie innym charakterze. To był czas silnego napięcia nerwowego, który nieomal wpędził mnie w chorobę. Niestety: *Diamentowy plac*, zgłoszo-

---

\* J. Łotman, *Kultura i eksplozja*, przeł. B. Żyłko, Warszawa, 1998 (wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).

ny do pierwszej edycji konkursu Sant Jordi, podzielił los *Ogrodu nad morzem* w ostatniej edycji Joana Martorella.

\* \* \*

Kiedy książka już została opublikowana, mój przyjaciel, pisarz Baltasar Porcel, nie szczędził mi pochwał, ale o Colomecie powiedział, że jest głupia. Zapewne chciał być dowcipny, ale moim zdaniem bardzo się pomylił. Oglądać świat oczami dziecka, w ciągłym zachwycie, to nie głupota, tylko coś wręcz przeciwnego; ponadto Colometa robi to, co do niej należy w konkretnych życiowych okolicznościach, a robić to, co należy, nic więcej, jest naturalnym talentem zasługującym na najwyższy szacunek. Uważam, że Colometa jest bardziej inteligentna niż madame Bovary czy Anna Karenina, a nikomu nie przyszło do głowy uznać je za głupie. Może dlatego, że były bogate, nosiły jedwabne stroje i miały służbę. I mimo że kiedyś, w młodości, wzdychałam do pani Bovary i Anny Kareniny, bardziej do tej drugiej niż tej pierwszej, to jednak kiedy potrzebowałam głównej bohaterki powieści, wybrałam Colometę, która podobna jest do mnie tylko pod jednym względem: czuje się zagubiona w świecie.

O przedmiotach (meblach, zegarach, wskazówkach zegarów, wahadłach zegarów, obrazach, kształ-

tach i kolorach foteli i sof, o lampach olejnych i lampach stojących, o dywanach i o królewskich baldachimach) była mowa we wszystkich powieściach. Od Balzaca do Prousta, nie zapominając o Tołstoju, żeby wymienić tych, którzy wywierają największe wrażenie. Przedmioty odgrywają w narracji ogromną rolę i zawsze tak było, jeszcze zanim Robbe-Grillet napisał *Podglądacza*. W *Diamentowym placu* też jest wiele przedmiotów: lejek, muszla ślimaka morskiego, lalki w sklepie z ceratami... meble opisane z całym bogactwem detali, dzwonki elektryczne i drzwi domu, w którym Colometa pracowała. Są złote monety, które ksiądz Joan podarował Quimetowi na wypadek, gdyby znaleźli się w potrzebie. Jest waga narysowana na ścianie klatki schodowej. I nóż, symbol seksualny, którym Colometa w zakończeniu powieści pisze swoje imię na drzwiach domu, gdzie mieszkała.

Ale *Diamentowy plac* to nie tylko przedmioty, to przede wszystkim postać: Colometa. Tworząc ją zasugerowałam się bohaterką *Wieczoru w kinie*, mojego opowiadania z dawnych czasów, zainspirowanego *Kandydem*, tego, które później weszło do zbioru *Dwudziestu czterech opowiadań*. Gdyby Voltaire nie napisał *Kandyda*, najprawdopodobniej *Diamentowy plac* nie ujrzałby nigdy światła dziennego. Wpływ Jamesa Joyce'a? Możliwe, że w zakończeniu powieści pobrzmiwają echa słynnego monologu z *Ullisesa*.



Ale bardziej usprawiedliwione byłoby szukanie źródeł XIII rozdziału *Diamentowego placu*, tego, w którym umiera matka Quimeta, w którymś z opowiadań *Dublinczyków*.

Gdybym nie czytała Bernata Metgego, Colometa nie zachwyciłaby się aż tak wyglądem swego atrakcyjnego męża. Bernat Metge każe Owidiuszowi opisywać wdzięki jego ukochanej; tamten rozdział, doskonały pod względem stylu i języka, nosi tytuł *Opisanie damy*. To kilka krótkich stron, które z powodzeniem mogą rywalizować z najlepszymi kartami literatury powszechnej. *Opisanie damy* Bernata Metgego zainspirowało mnie do „opisania kawalera”, czyli Quimeta, które czytelnik znajdzie w VIII rozdziale mojej powieści. Jestem wdzięczna Bernatowi Metgemu, bo dał mi więcej, niż na to zasługuję. I proszę go gorąco, by mi wybaczył swobodę interpretacji.

Mogłabym wymienić wiele inspiracji, wszystko, co kiedykolwiek przeczytałam, zaczynając od Biblii. Chcę potwierdzić, bo ktoś to zakwestionował, że *Diamentowy plac* to opowieść o miłości. O miłości napisano wiele powieści. Od miłości duchowej, rycerskiej, po miłość cielesną – tę ostatnią reprezentuje jeden z najbardziej pretensjonalnych utworów, na temat którego wylano morze atramentu, stworzony przez wielkiego pisarza D.H. Lawrence’a. Mam na myśli *Kochanka lady Chatterley*. Ale najbardziej wzniosłą

i wzruszającą opowieścią o miłości jest historia Francesca da Rimini w pieśni v *Piekieła* w *Boskiej komedii*. Historia, którą rozpoczynają te cudowne wiersze:

*Siede la terra dove nata fui  
su la marina, dove'l Po discende  
per aver pace co' seguaci sui.\**

I miłość Ulissesa, ale nie do Penelopy, nie do słodkiej Nauzykai, lecz jego namiętna miłość do przygody. Dante w pieśni xxvi *Piekieła* wyprawia go w towarzystwie czterech starych, zmizerowanych towarzyszy, na pokładzie rozpadającej się łodzi, na ostatnią przygodę: na śmierć.

*Nè dolcezza di figlio, nè la pieta  
del vecchio padre, nè'l debito amore  
lo qual dovea Penelope far lieta,  
  
vincer potero dentro a me l'ardore  
ch'èbbi a divenir del mondo esperto,  
e de li vizi umani e del valore.\*\**

---

\* „Kraj mój położon jest nad brzegiem toni, / Którą nurt Padu z utęsknieniem wita, / Bo tam ma spokój od rzek swych pogoni” w przekładzie Edwarda Porębowicza.

\*\* „Nie mógł powstrzymać syn mój ulubiony / Ni cześć starego ojca, ni miłości / Powinność, niegdyś szczęście lubej żony, /

Poza Biblią i Dantem, przyznaję się jeszcze do Homera, którego inspirująca lektura zrobiła na mnie ogromne wrażenie.

\* \* \*

Chcę jeszcze raz powtórzyć z naciskiem, bo byłoby mi przykro, gdyby ktoś w to wątpił: oświadczam głośno i wyraźnie, że *Diamentowy plac* jest przede wszystkim powieścią o miłości, mimo że nie ma w niej ani grama sentymentalizmu. Chwila, w której Colometa, pożegnawszy martwą przeszłość, wchodzi do domu o świcie i tuli się do swojego drugiego męża, mężczyzny, który ją obronił przed wszystkimi przeciwnościami losu, to scena wielkiej miłości: „...pomyślałam, że nie chcę, żeby mi kiedykolwiek umarł...”. I włożyła palec do pępka, „żeby żadna zła czarownica nie wessała go przez pępek i nie zostawiła mnie bez Antoniego”. Słowo „radosne” w zakończeniu powieści też nie jest przypadkowe. Nie użyłam go bez powodu. Pozwala zrozumieć, że choć na świecie jest tyle smutku, zawsze ktoś może świat ocalić odrobiną radości. Na przykład parę ptaków: „...i w każdej kałuży, nawet

---

Nie mogły zdusić we mnie ciekawości / Zajrzenia w świata roboty misterne, / Poznania błędów ludzkich i dzielności” – w przekładzie Edwarda Porębowicza.

najmniejszej, będzie się odbijało niebo... niebo, które czasami wzburzy jakiś ptaszek... spragniony, który nie wie, że dzióbkiem rozchybotał niebo w wodzie... albo parę rozświergotanych ptaków, które śmigną, pikując spomiędzy liści jak błyskawica, wpadną do kałuży, wykąpią się w niej, strosząc piórka, i przemieszają z niebem i błoto, i dzioby, i skrzydła. Radosne...”

\* \* \*

*Diamentowy plac* jest już daleko poza mną. Tak jakbym to nie ja go napisała. Bardzo daleko. W tym momencie, kończąc prolog, martwię się o mój ogród. Już w nim rozkwitły jasnorożowe śliwy i obsypane chórem różyczek drzewko Jupitera, czyli lagerstremia indyjska. Jeżeli mocniej powieje tramontana, wszystkie one bardzo ucierpią. Idę sprawdzić, co z tym wiatrem i co z kwiatami.

Mercè Rodoreda

Romanyà de la Selva, 1982

Dla J.P.

*My dear, these things are life.*

MEREDITH

## I

Julietta zajrzała do mnie do cukierni i powiedziała, że przed licytacją bukietu odbędzie się licytacja kawia-  
rek; ona już zdążyła je obejrzeć: urocze, białe, ozdo-  
bione pomarańczą przeciętą na pół, widać nawet  
pestki. Nie miałam ochoty na tańce, na imprezowa-  
nie, bo przez cały dzień sprzedawałam słodczyce, aż  
mnie rozboleły opuszki palców od przyciskania zło-  
tego sznurka przy wiązaniu pakiecików z uchwytem.  
A poza tym znałam Julietę, jej wystarczały trzy godzi-  
ny snu, zresztą mogła w ogóle nie spać. Ale ona była  
uparta, a ja, kiedy ktoś mnie bardzo prosi, nie umiem  
odmówić. Wystroiłam się na biało od góry do dołu:  
wykrochmalona sukienka i halka, buty jak łyk mleka,  
kolczyki z białej masy i dobrane do nich trzy okrągłe  
bransoletki oraz biały portfelik, zdaniem Juliety z ce-  
raty, z zamkiem w kształcie złotej muszelki.

Kiedy dotarliśmy na plac, muzycy już grali. Nad  
ich głowami zwieszał się daszek udekorowany kwia-

tami i papierowym łańcuchem we wszystkich możliwych kolorach: na przemian łańcuch i kwiaty. Niektóre papierowe kwiaty miały w środku żarówkę, a cały daszek wyglądał jak odwrócony parasol, bo te miejsca, gdzie kwiaty spotykały się z łańcuchem, były podciągnięte do góry, a część środkowa – w dół. Gumka halki, którą z trudem przeciągnęłam szydełkiem, żeby zapiąć na guzik i pętelkę, uwierała mnie w pasie. Musiała już zostawić czerwony ślad na ciele, czułam ucisk przy każdym oddechu. Estradę orkiestry udekorowano asparagusem i papierowymi kwiatami przy-mocowanymi cienkim drucikiem. A muzycy, spoceni, podwinęli rękawy. Moja matka zmarła lata temu, nie mogła mi służyć radą, a ojciec ponownie się ożenił. Ojciec żonaty z inną, a ja bez matki, która mnie kiedyś rozpieszczała. Ojciec żonaty, ja młodziutka, sama na Diamentowym placu, czekałam na licytację kawiarek, a Julieta zawołała, przekrzykując muzykę, nie siadaj, bo pognieciesz sukienkę! i przed oczami miałam światełka ukryte w kwiatkach i łańcuszki posklejane wodą z mąką, i ludzi wokół, zadowolonych, i kiedy tak błędziłam myślami tu i tam, jakiś głos szepnął mi do ucha: zatańczymy?

Najpierw szybka riposta, że nie umiem, dopiero potem odwróciłam się i spojrzałam. Przed sobą miałam twarz, tak blisko, że nie mogłam jej się dobrze przyjrzeć, wiedziałam tylko tyle, że to twarz chłopaka.

Nie szkodzi, odpowiedział, ja świetnie tańczę i panią nauczę. Pomyślałam o biednym Perem, który o tej porze w podziemiach restauracji Colón w białym fartuchu przygotowywał jedzenie, i znów palnęłam jak głupia:

– A co, jak się dowie mój narzeczony?

Tamten chłopak przysunął się do mnie jeszcze bliżej i rozbawiony zapytał: taka smarkata i już ma narzeczonego? A kiedy się roześmiał, otworzył szeroko usta i zobaczyłam wszystkie zęby. Miał małpie oczka, był ubrany w białą koszulę w niebieskie prążki, mokrą pod pachami, z rozpiętym kołnierzykiem. I nagle ten chłopak odwrócił się tyłem, wspiął się na palce, rozejrzał na prawo i lewo, potem spojrział na mnie, usłyszałam: przepraszam, i zaczął krzyczeć: Ej!... nie widzieliście mojej marynarki? Leżała obok muzyków! Na krześle! Ej!... I tak dowiedziałam się, że mu zabrali marynarkę, że zaraz wróci, i żebym była uprzejma na niego zaczekać. Wołał: Cintet!... Cintet!

Julieta, w kanarkowej sukni z zielonymi aplikacjami, zjawiła się nie wiadomo skąd i poprosiła: zasłoń mnie, muszę zdjąć buty... dłużej nie wytrzymam... Uprzedziłam ją, że muszę tu stać, bo pewien młody człowiek szuka marynarki i chce tańczyć ze mną za wszelką cenę, i kazał mi tu czekać. A na to Julieta: tańczcie, tańczcie... I było bardzo ciepło. Dzieciaki za rogiem puszczały fajerwerki i petardy. Na ziemi le-



żało pełno pestek arbuza, a pod ścianami mnóstwo łupin i puste butelki po piwie; na tarasach też odpalali petardy. I na balkonach. Widziałam twarze mokre od potu i chłopców, jak je ocierali chusteczkami. A muzycy z radością: no to gramy! Wszystko piękne jak na obrazku. I paso dobre. I kiedy tak kołysałam się w rytm muzyki w górę i w dół, z daleka, a raczej z bardzo bliska, dotarł do mnie głos tamtego chłopaka, i usłyszałam: no proszę, umie pani tańczyć! Poczulałam silną woń potu i zwietrzałych perfum. A małpie oczka błyszczały tuż przy moich, a po obu stronach twarzy medale uszu. Guma wpijała mi się w ciało, a moja matka nie żyje, więc nie wiem, czy dobrze zrobiłam, mówiąc tamtemu chłopcu, że mój narzeczony jest kucharzem w Colón, a on się roześmiał, że bardzo mu współczuje, bo jeszcze w tym roku zostanę jego panią i królową. I będziemy tą parą, która wylosuje bukiet na Diamentowym placu.

Powiedział: moją królową.

Poskarżył się, że kiedy nazwał mnie swoją panią, nawet na niego nie spojrzałam, no to spojrzałam, a wtedy zaczął się przekomarzać: niech pani tak na mnie nie patrzy, bo zaraz będą musieli mnie zbierać z ziemi, a ja wtedy mu powiedziałam, że ma małpie oczka, czym go znów rozśmieszyłam. Guma w pasie wrzynała się jak nóż, a orkiestra tarari! tarara! I Julieta gdzieś przepadła. Bez śladu. A ja miałam przed

sobą tamte oczy, które mnie uwięziły, jakby mieścił się w nich cały świat, i nie było dokąd uciec. A noc podążała przed siebie, na wozie gwiazd, i bal trwał, a bukiet już wylosowany, i tamta dziewczyna z bukietem, w niebieskiej sukience, wirowała w tańcu... Moja matka na cmentarzu Sant Gervasi, a ja na Diamentowym placu. Sprzedaje pani słodkości, tak? Miód i konfitury?... A muzycy zmęczeni już wkładali instrumenty do pokrowców, ale znów je wyciągnęli, bo ktoś zamówił walca dla wszystkich i wszyscy kręcili się jak bąki. I kiedy walc się skończył, ludzie zaczęli się rozchodzić. Zmartwiłam się, bo zgubiłam Julietę, a na to tamten chłopak, że on też zgubił Cinteta i powiedział: kiedy zostaniemy całkiem sami, kiedy wszyscy zamkną się w domach, a ulice opustoszeją, pani i ja zatańczymy na palcach walca, na Diamentowym placu... i raz, i dwa... Colometo. Spojrzałam na niego spłoszona i wyjaśniałam, że mam na imię Natàlia, a kiedy usłyszał, że nazywam się Natàlia, zaśmiał się i zdecydował, że pasuje do mnie tylko jedno imię: Colometo. Gołąbka. Wtedy rzuciłam się przed siebie, a on pobiegł za mną, proszę się mnie nie bać... nie widzi pani, że nie może zostać sama na ulicy, bo mi jeszcze panią ukradną?... i złapał mnie za rękę, i zatrzymał, nie widzi pani, Colometo, że mi panią ukradną? A moja matka nie żyje, a ja stoję jak głupia, a gumka w pasie ciśnie, ciśnie, jakbym była przywiązana drutem do gałązki asparagusa.

I dalej biegiem. A on za mną. Sklepy zamknięte, żaluzje opuszczone, a na wystawach leżą sobie spokojnie przeróżne rzeczy: kałamarze, bibułki, widokówki, lalki, rozłożone ubrania, aluminiowe naczynia, dzianiny... I tak dobiegliśmy na ulicę Gran, ja z przodu, on za mną, oboje biegiem, i jeszcze po latach czasami opowiadał jak to Colometa, w dniu, kiedy ją poznałem na Diamentowym placu, uciekała przede mną i na samym przystanku tramwajowym, pataplafl!, spadła jej halka.

Nicians haftka pękła i halka się zsunęła. Przeskoczyłam przez nią, o mało nie zaplątały mi się w nią nogi, i dalej przed siebie, jakby mnie goniło całe piekło demonów. Kiedy dotarłam do domu, nie zapalając światła, rzuciłam się jak kłoda na łóżko, moje panieńskie, mosiężne łóżko. Było mi wstyd. I kiedy już mi ten wstyd się znudził, kopniakiem pozbyłam się butów i rozpuściłam włosy. A Quimet jeszcze po latach opowiadał, jakby to była wiadomość z ostatniej chwili: pękł jej gumowy pasek i pędziła jak wiatr...

## II

To wszystko było bardzo tajemnicze. Włożyłam sukienkę w kolorze drzewa różanego, trochę za lekką jak na tę porę roku, więc miałam gęsią skórkę, kiedy stałam na rogu i czekałam na Quimeta. Rozglądałam się rozkojarzona, aż zauważyłam, że chyba ktoś mi się przygląda, bo listewki rozsuwanych żaluzji w oknie z jednej strony jakby się poruszyły. Z Quimetem umówiłam się przed parkiem Güell. Z bramy wyszedł jakiś chłopiec z rewolwerem za pasem, z wymierzoną strzelbą, i przeszedł obok mnie, krzyżąc pif-paf...

Listewki wróciły na miejsce, ale cała żaluzja, podciągnięta do góry, odsłoniła jakiegoś młodego faceta w pizamie; po ruchu warg domyśliłam się, że szepcze pst... pst..., a przy tym zgiął palec jak haczyk, kiwając na mnie, żebym podeszła. Żeby się upewnić, czy dobrze zrozumiałam, dotknęłam dłonią piersi i patrząc w jego stronę zapytałam cicho, ja? Nie musiał mnie słyszeć, żeby zrozumieć, i tylko kiwnął głową, a głowę

miał naprawdę piękną, więc przeszłam przez ulicę, pod balkon. Jak już byłam blisko, facet zawołał: chodź, przytulimy się razem do poduszki.

Wściekłość na niego, ale przede wszystkim na samą siebie, wypłynęła mi na twarz tysiącem kolorów i popsowała humor; odwróciłam się, ale czułam, że mnie rozbiera wzrokiem i dotyka mojej skóry. Stałam tak, żeby facet w piżamie mnie nie widział, ale nie mogłam całkiem się ukryć, bo przecież czekałam na Quimeta. Zastanawiałam się, jaka ona będzie, ta nasza pierwsza randka w parku. Rano wszystko leciało mi z rąk, cały dzień z nerwów nie mogłam sobie znaleźć miejsca. Quimet umówił się ze mną o wpół do czwartej, a było wpół do piątej, kiedy przyszedł; ale nie miałam pretensji, bo może źle go zrozumiałam i to ja się pomyliłam, a nie on, skoro się przede mną nie tłumaczył... Nie miałam odwagi przyznać się, że od tego stania bolą mnie stopy, bo założyłam lakierki, które mnie cisną, i że zaczepiał mnie tamten facet. Ruszyliśmy pod górę bez słowa i wspinaczka sprawiła, że zrobiło mi się ciepło i wreszcie wygładziła się skóra. Chciałam mu opowiedzieć, że pokłóciłam się z Perem, że z nim wszystko skończone. Przysiedliśmy na kamiennej ławce na uboczu, między dwoma drzewami o delikatnych liściach, i obserwowaliśmy kosa, który wyskakiwał nie wiadomo skąd, przelatywał między drzewami, wydając z małego gardła krzyk, słaby, nieco

chrapliwy, po czym zniknął i za chwilę, kiedy już o nim zapomnieliśmy, znów wyłaniał się z liści, i cała ptasia wycieczka zaczynała się od nowa. Patrzyłam prosto przed siebie, ale kątem oka dostrzegłam, że Quimet obserwuje domy w dole, pomniejszone przez odległość. Wreszcie zapytał: nie boisz się tego ptaszka?

Powiedziałam, że bardzo mi się podoba, a on na to, że według jego matki czarne ptaki, nawet kosa, przynoszą nieszczęście. Wcześniej za każdym razem, kiedy spotykałam się z Quimetem, od tego dnia na Diamentowym placu, najpierw pochylał się nade mną i pytał, czy już zerwałam z Perem. A tym razem w ogóle go to nie interesowało, a ja nie wiedziałam, jak zagaić, jak mu powiedzieć, że Pere już wie, że z nim zrywam. Było mi bardzo przykro, kiedy mu to mówiłam, bo Pere wyglądał jak zapalka, którą ktoś zdmuchnął, ledwie zdążyła się zapalić. Jak myślałam o tym, że zerwałam z Perem, cierpiałam i to cierpienie uświadamiało mi, że zrobiłam coś złego. Musiało tak być, bo ja wewnątrz zawsze wszystko miałam poukładane, ale na wspomnienie miny Perego czułam głęboko w środku ból, jakby w moim wcześniejszym spokoju otworzyły się drzwiczki do gniazda skorpionów i te skorpiony się rozpełzły, by zmieszać się z cierpieniem, które od tego momentu stanie się jeszcze bardziej bolesne; i przeniknąć do krwi, aż stanie się czarna. A to dlatego, że Pere spojrzął na mnie

przez mgłę pociemniałych oczu i łamiącym się głosem powiedział, że zrujnowałam mu życie. Że została z niego grudka błota, nic więcej. A Quimet, patrząc na kosa, zaczął mówić o panu Gaudím, którego ojciec Quimeta poznał w dniu, kiedy potrącił go tramwaj, i że jego ojciec był jednym z tych, którzy zabrali go do szpitala, biedny pan Gaudí, taki dobry człowiek, co za nieszczęsna śmierć... I że na całym świecie nie ma nic, co by mogło się równać z parkiem Güell, z kościołem Sagrada Família, i z Pedrerą. Ja zauważyłam, że w sumie to za dużo tam fal i szpikulców. Nagle uderzył mnie kantem dłoni w kolano, aż mi noga podskoczyła, i pouczył, że jeśli chcę być jego żoną, to powinnam zacząć od tego, że ma mi się podobać to, co jemu się podoba. Wygłosił mi całe kazanie na temat mężczyzny i kobiety, co ma do gadania jedno, a co drugie, ale kiedy udało mi się wtrącić, zapytałam:

– A co, jeśli coś w ogóle mi się nie podoba?

– Ma ci się podobać i już, bo ty się na tym nie znasz.

I kontynuował swoje kazanie, a było długie. Wspominał wiele osób ze swojej rodziny: rodziców, wujka, który miał kapliczkę i klęcznik, swoich dziadków i dwie matki Królów Katolickich, które, jego zdaniem, wyznaczyły właściwą drogę.

I wtedy usłyszałam coś, czego nie mogłam pojąć, bo mówiąc o tylu różnych sprawach, zniecka wes-

tchnął, biedna Maria... A potem znów wrócił do matek Królów Katolickich i że być może wkrótce będziemy mogli się pobrać, bo ma dwóch przyjaciół, którzy już mu szukają mieszkania. I że padnę z wrażenia, jak zobaczę meble, które mi zrobi, taki z niego wybitny stolarz, i że on będzie kimś w rodzaju świętego Józefa, a ja jak Matka Boska.

Bardzo był z siebie zadowolony, a ja cały czas się zastanawiałam, o co mu chodziło z tą biedną Marią... i traciłam humor, w miarę jak dzień tracił blask, a tymczasem niezmordowany kos ciągle wynurzał się spod liści, przelatując z jednego drzewa na drugie i za chwilę znów był na ziemi, pod liśćmi; on jeden wystarczył za całe stado kosów.

– Zrobię dla nas obojga podwójną szafę, dwuczęściową, z kurrajongi. A jak już całe mieszkanie będzie umeblowane, zrobię łóżeczko dla dziecka.

Powiedział, że dzieci lubi i nie lubi. Czasem tak, czasem nie. Słońce powoli zachodziło i tam, gdzie już nie dochodziło światło, cień stawał się niebieski, aż strach było patrzeć. A Quimet opowiadał o różnych rodzajach drewna i porównywał, że co innego jakaranda, a co innego mahoń, i czym się różni zwykły dąb od dębu ostrolistnego... I wtedy, dobrze to sobie zapamiętałam i zawsze będę pamiętać, pocałował mnie, a jak zaczął mnie całować, zobaczyłam Pana Naszego wysoko, na samym szczycie jego domu,



w gęstej chmurze otoczonej murem w kolorze mandarynki, wyblakłym z jednej strony, i Pan Nasz otworzył szeroko ramiona, a miał je bardzo długie, złapał chmurę za końce i zamknął się w środku, jakby się zamykał w szafie.

– Nie powinniśmy byli dziś przychodzić.

Pierwszy pocałunek połączył się z drugim i całe niebo się zachmurzyło. Widziałam tamtą chmurę, która powoli odpływała, i zaraz pojawiły się mniejsze chmurki i ścigały tamtą, z całą jej zawartością, a Quimet smakował kawą z mlekiem. I krzyknął: już zamykają!...

– Skąd wiesz?

– Nie słyszałaś gwizdka?

Wstaliśmy, kos się spłoszył i uciekł, a wiatr podwiewał mi spódnicę... i w dół, ścieżkami w dół. Na ławce z ceramiki siedziała dziewczynka, która wkładała palce do nosa, a potem przesuwała nimi po ośmioramiennej gwiazdzie na oparciu. Miała sukienkę w takim samym kolorze jak moja, na co zwróciłam uwagę Quimetowi. Nie zareagował. Kiedy wyszliśmy na ulicę, zwróciłam mu uwagę: popatrz, ludzie jeszcze wchodzą... a on na to: nie twoje zmartwienie, zaraz ich wyproszą. Schodziliśmy ulicami w dół i kiedy już miałam na końcu języka: wiesz? z Perem właśnie zerwałam, on się zatrzymał, stanął przede mną, chwycił za ramiona i patrząc na mnie z wyrzutem,

jakbym miała coś na sumieniu, powtórzył, biedna Maria...

Zamierzałam go pocieszyć, żeby się nie martwił i powiedział wreszcie, czemu Maria jest taka biedna... Ale zabrakło mi odwagi. Wypuścił mnie, znów szliśmy obok siebie, cały czas w dół, aż znaleźliśmy się na skrzyżowaniu ulic Diagonal i Passeig de Gràcia. Zaczęliśmy spacerować wokół kamienic, a ja już nie mogłam ustać na nogach. Chodziliśmy tak z pół godziny, aż się zatrzymał pod latarnią, znów chwycił mnie za ramiona i kiedy nastawiałam się, że zaraz usłyszę o biednej Marii i wstrzymywałam oddech, czekając na te słowa, on wyjaśnił mi rozgniewany:

– Gdybyśmy stamtąd szybko nie zeszli, z tamtej góry, gdzie był ten kos i jakieś czary, nie wiem, co mogłoby się wydarzyć!... Lepiej uważaj, bo w dniu, kiedy mi podpadniesz, mogę ci zrobić krzywdę!

Kręciliśmy się między kamienicami aż do ósmej, bez słowa, jakbyśmy od urodzenia byli dotknięci niemotą. Kiedy zostałam sama, spojrzałam na niebo i dostrzegłam tylko czerni. Nie wiem... to wszystko razem... takie tajemnicze...

### III

Natknęłam się na niego na rogu, zaskoczona, bo tego dnia nie byliśmy umówieni.

– Nie chcę, żebyś dłużej pracowała dla tego cukiernika! Dowiedziałem się, że podrywa pracownice.

Aż się zatrzęśłam i poprosiłam, żeby nie podnosił głosu, ja nie mogę tak po prostu odejść z pracy, bez powodu, niekulturalnie, ten biedny człowiek nigdy mi nie powiedział złego słowa, poza tym ja lubię sprzedawać słodczyce i jeżeli teraz każe mi zrezygnować, to ciekawe, co dalej... A Quimet, że zimą, któregoś popołudnia, jak już było ciemno, poszedł zobaczyć, jak pracuję. I zauważył, że kiedy ja pomagałam klientce wybrać bombonierkę z gabloty po prawej stronie, cukiernik nie spuszczał ze mnie wzroku; nie ze mnie: z mojego tyłka. A ja na to, że wypraszam sobie i lepiej, żebyśmy zerwali, skoro nie ma do mnie zaufania.

– Mam zaufanie, ale nie chcę, żeby cukiernik zabawiał się twoim kosztem.

– Chyba zwariowałaś. Ten człowiek myśli tylko o swoim sklepie! Słyszysz?

Tak się zdenerwowałam, że aż płonęły mi policzki. Chwycił mnie jedną ręką za szyję i potrząsał moją głowę. Kazałam mu się wynosić, bo jak nie, zawołałam straż miejską. Nie widzieliśmy się trzy tygodnie i kiedy już zaczynałam żałować, po co oświadczyłam Peremu, że między nami wszystko skończone, przecież Pere to w gruncie rzeczy dobry chłopiec, świat nie widzi poza swoją profesją, pracowity, i nigdy mi nie sprawił przykrości, wtedy on znów się zjawił i pierwsze, co mi powiedział z kamienną twarzą, trzymając ręce w kieszeniach: a biedna Maria przez ciebie poszła w odstawkę...

Zmierzaliśmy Rambla del Prat do ulicy Gran. Zatrzymał się przed sklepem kolonialnym, gdzie przed wejściem stały na ulicy różne worki, sięgnął ręką do worka z grochem, pochwalił, że ładny groch... i poszliśmy dalej. Zabrał kilka ziaren i niepostrzeżenie wrzucił mi je z tyłu za kołnierz bluzki. Potem zatrzymał mnie przed wystawą sklepu z gotową konfekcją. Popatrz: jak się pobierzemy, masz sobie kupić takie fartuchy. Ja na to, że wyglądają jak z ochronki, a on, że takie nosi jego matka, na co ja, że nic mnie to nie obchodzi, mnie one się kojarzą z ochronką.

Zapowiedział, że przedstawi mnie swojej matce, że już jej o mnie mówił i ona bardzo chce zobaczyć, jaką dziewczynę wybrał sobie jej syn. Odwiedziliśmy ją w niedzielę. Mieszkała sama. Quimet mieszkała na kwaterze, żeby oszczędzić jej pracy i zachować z matką przyjacielskie stosunki, które się psuły, kiedy przebywali pod jednym dachem. Matka zajmowała mieszkanie w niewielkiej kamienicy blisko Domu Dziennikarzy; z galerii czasem widać było morze, a czasem tylko mgłę, która je zasłaniała. Okazała się drobna, zwinna jak wiewiórka, z fryzurą prosto od fryzjera, który jej ułożył na głowie fale. Ozdobiła dom mnóstwem kokard, o czym Quimet mnie wcześniej uprzedził. Nad Chrystusem u wezłowania łóżka kokarda. Łóżko było z czarnego mahoni, z dwoma materacami i kapą w kolorze kremowym w czerwone róże, obszytą falbaną z czerwonymi wypustkami. Na uchwycie nocnej szafki kokarda. W szufladach bieliźniarki każdy uchwyt z kokardą. I kokarda na każdej klamce.

– Widzę, że pani bardzo lubi wstążki – zauważyłam.

– Dom bez wstążek to nie dom.

Zapytała mnie, czy lubię sprzedawać słodycze, a ja na to, tak, proszę pani, bardzo, zwłaszcza podkręcać końce sznurka ostrzem nożyczek, i nie mogę się doczekać świąt, chciałabym już wiązać pakunki i słyszeć dźwięk kasy i dzwonek przy drzwiach.

– Chyba nie mówisz poważnie – zdziwiła się.

Po południu Quimet kuksańcem dał mi do zrozumienia, że pora się zbierać. A kiedy staliśmy na progu, jego matka zapytała mnie: a domowe zajęcia też lubisz?

– Tak, proszę pani, bardzo.

– To dobrze.

Wtedy poprosiła, żebyśmy zaczekali, weszła do środka i po chwili wróciła z różańcem z czarnych koralików i podarowała mi go. Kiedy już wyszliśmy, Quimet stwierdził, że zdobyłam jej serce.

– Co ci mówiła, jak poszłyście do kuchni?

– Że dobry z ciebie chłopak.

– Tak myślałam.

Mówiąc to, patrzył w ziemię i kopał jakiś kamyk. Przyznałam się, że nie wiem, co mam zrobić z tym różańcem. Poradził, żeby go włożyć do szuflady, może kiedyś mi się przyda, nie wolno niczego wyrzucać.

– Na przykład dla dziewczynki, jeśli będziemy mieć córkę...

I uszczypnął mnie w ramię. Kiedy rozcierałam rękę, bo naprawdę zabolalo, zapytał najpierw, czy o czymś tam pamiętam, a potem oświadczył, że wkrótce kupi sobie motor, przyda się nam, jak się pobierzemy; będziemy jeździć po całym kraju, on z przodu, ja z tyłu. I czy już kiedyś siedziałam na motorze za jakimś chłopcem? A ja, że nie, nigdy, to bardzo niebezpiecz-

ne, wtedy on się roześmiał, wesolutki jak skowronek, i powiedział: no co ty, kobieto...

Weszliśmy do Monumentalu na kieliszek wermutu i na ośmiornice. Tam spotkaliśmy Cinteta. Miał wielkie wylupiaste oczy, jak krowa, i lekko wykrzywione usta. Dowiedzieliśmy się od Cinteta, że jest mieszkanie przy ulicy Montseny w dobrej cenie, ale w złym stanie, bo właściciel nie chce się zająć remontem, woli zostawić ten problem lokatorom. Nad mieszkaniem jest taras. To nam bardzo odpowiadało, ten taras, a na dodatek Cintet zapewnił, że będzie wyłącznie do naszej dyspozycji. Cały dla nas, ponieważ sąsiedzi z parteru mają własne patio, a ci z pierwszego piętra – niewielki ogródek z kurnikiem i pralnią, do którego się schodzi długimi krętymi schodami. Quimet podkscytowany powiedział Cintetowi, że nie przepuści takiej okazji, a na to Cintet, że jutro wybiera się tam z Mateu i żebyśmy poszli z nimi. Wszyscy razem. Quimet zapytał, czy nie słyszał czegoś o używanym motorze na sprzedaż, skoro pracuje w warsztacie, u wujka, a on obiecał, że się rozejrzy. Rozmawiali, nie zwracając na mnie uwagi. Moja matka nigdy mi nie mówiła o mężczyznach. Ona i ojciec najpierw przez wiele lat się kłócili, a przez kolejne lata nie rozmawiali ze sobą. Spędzali niedzielne popołudnia w jadalni, siedzieli i nie odzywali się do siebie ani słowem. Kiedy matka zmarła, żyliśmy w jeszcze większym milcze-

niu. I gdy po paru latach ojciec ponownie się ożenił, w domu nie miałam żadnego punktu oparcia. Żyłam tak, jak najprawdopodobniej żyją koty: ogon w górę, ogon w dół, raz spuszczone, raz wyprostowane, teraz jemy, teraz śpimy, z tą różnicą, że kot nie musi pracować, żeby żyć. W domu obchodziliśmy się bez słów i myśli, które w sobie dusiłam, przerażały mnie samą, bo nie wiedziałam, skąd mi się biorą...

Kiedy żegnałam się z Quimetem na przystanku tramwajowym, usłyszałam jak Cintet mówi: skąd ją wytrzasnąłeś, taką fajną dziewczynę... I słyszałam, że Quimet się śmieje, ha, ha, ha...

Włożyłam różaniec do nocnej szafki i wyjrzałam przez okno. Do ogrodu na dole zszedł syn sąsiadów, który odbywał służbę wojskową, żeby odetchnąć świeżym powietrzem. Zrobiłam kulkę z papieru, rzucałam w niego, a sama się schowałam.